

Ryszard Zieliński

"BĘDZIE TO PRÓBA PRZENIKNIĘCIA CZŁOWIEKA"

Prapremiera w otoczeniu wielkiej gali należała już do wspomnień. Odeszło w przeszłość święto teatru, gromadzące na widowni całkiem niezwykłą publiczność, a na scenie aktorów - przejętych jakby ten spektakl dla każdego był debiutem. "Brat naszego Boga", /tytułowy cytat napisał sam Autor w komentarzu do tej sztuki/, z dnia na dzień, z odskokiem w odskok, zwyciężenie, stała się po prostu sztuką graną w teatrze.

Oczywiście, wciąż żaden widz nie zapomina o Autorze. Niewątpliwie większość biletów została wyprzedana na kilka miesięcy naprzód skutkiem ludzkiej ciekawości adresowanej bardziej ku Autorowi, niż ku spodziewanym głębiom i pięknościami dramatu o przemianie Adama Chmielowskiego w Brata Alberta. Ze spektaklu na spektakl sztuka Karola Wojtyły - dziś Papieża Jana Pawła II - coraz bardziej poddaje się prawom teatru. Dopiero gdy fascynacja jej pojawieniem się na scenie została tak trwale zakodowana w naszych mózgach, dopiero teraz możemy docenić wszystkie /nie bez restrykcji przeważające przez teatr/ trudności Scenicznej realizacji dramatu wewnętrznej walki człowieka. Dopiero teraz dostrzegamy skalę zadań stojących przed aktorami, widzimy przeciwstawność zjawiska artystycznego, jakim jest "Brat naszego Boga" na scenie, w stosunku nie tyle do gości, ile do nawyków dzisiejszego widza teatralnego. Ale przy tych wszystkich, nie bez restrykcji zwycięsko pokonanych pułapkach teatru, kto był na sztuce Karola Wojtyły ten wie, że one mu, łatwo z pamięci nie uleci. Ten ryśkał nowy, trwały

element swej świadomości, wśród tych tworzących krajobraz kulturalny i moralny, w jakim człowiek żyje. I który go kształtuje.

Wróćmy jeszcze na chwilę do premierowych fascynacji. Poza osobą Autora, drugim ewenementem w samej fakcie inscenizacji tej sztuki było to, co ludzie smakując własne zdumienie lub satysfakcję wyrażali, mówiąc - sztuka religijna, grana na wielkiej scenie! Dożyliśmy ciekawych czasów.

Religijna? Naturalnie, ale dlatego, że mówi o obecności Boga w życiu człowieka, a nie dlatego, że w tle sceny ukazane są gigantyczny krzyż, zaś reflektory narzucają oczom widzowi rozświetloną kopię "Ecce Homo" Adama Chmielowskiego.

"Daj się kształtować miłości" - już sama naka dostosowania się bohatera sztuki do takiego imperatywu czyni tę sztukę narzędziem ideologii chrześcijańskiej. Bohater w imię imperatywu miłości ludzi kształtuje swoje życie, odmienia je w bólu wyrzeczeń i w nadziei, w walce z Bogiem i pomocą Boga, wolny i skrzepowany, suwerenna jednostka i społeczna molekula zarazem. To jest temat na scenie! Rzecz w tym, jak napisany, jak wyreżyszerowany i jak zagrany.

Mimo stałych nadkompletów na widowni, myślałem, że wciąż więcej ludzi zna tę sztukę z lektury niż ze sceny. Nie dlatego, żeby nakład "Poezji i dramatów" Karola Wojtyły przewyższał stale rosnącą liczbę widzów, skądże, tylko dlatego, że - wymając nieśmiało - "Brat naszego Boga" wydaje się utworem przede wszystkim literackim. Lepiej go pozna ten, kto uważnie

przeczytał, niż ten, kto go oglądał na scenie. Obraz i ruch chwilowo przytłaczają tekst, trudny i wymagający skupienia. Oczywiście, reżyser i aktor są zdolni widzowi narzucić skupienie, ale nie zawsze. Niekiedy ekspresja gestu aktora rozprasza go, właśnie wówczas, gdy ma on nas przekonać o walce dziającej się w nim.

Dramat, rozpoczęty w pracowni malarskiej, kończy się zbiorową sceną nraci zakonnych, zastakowanych wieścią o rewolucji społecznej. Dotyczy czy raczej dotyczy biografii Adama Chmielowskiego - Brata Alberta. Jej jądrem jest problem drogi wiedzącej do wolności człowieka - które z możliwych dróg wiedzie do większej wolności? - oraz fakt przeswyciętania przez Chmielowskiego artysty w sobie, dla celów jeszcze wyższych niż te, które można realizować przez sztukę. Jest w "Bracie naszego Boga" fascynacja autora osobą Brata Alberta, znana nie tylko na podstawie tego utworu, ale jest też kilka innych spraw: jest wielki dialog polityczny o drogach i celach rewolucji społecznej, jest dręczące chrześcijan przez długie lata pytanie o to, co w rzeczywistości naszego świata wyniknęło z opóźnienia się chrześcijaństwa w kwestiach społecznych /dziś jest to problem historyczny, ale w 1949 roku pytanie brzmiało jeszcze bardzo aktualnie/. Są w rozmowie z rewolucjonistą oraz w niektórych momentach trzeciego aktu nutki brzmiące wręcz aktualnie, mimo że dramat został ukończony w 1949 r. Są wreszcie w tej sztuce wielkie tradycje Norwida i Wyspiańskiego, oraz jeszcze może liczniejsze Teatru Repedycznego,

no i jest - wątek osobisty Autora. Wszyscy pisząca o "Bracie naszego Boga" ten wątek widzą, wszyscy go zaznaczają i milczą. Nie romansem, dlaczego? "Brata naszego Boga" napisał młody wikary, który sam musiał "przeswyciętyć w sobie artystę", aby podjąć inną ścieżkę. Musiał przeżyć własne, wewnętrzne zmaganie się. Jerzy Turowicz przypomniał niedawno, że w 1943 roku Karol Wojtyła - "...uchodził za jednego z najlepszych aktorów Zespołu /Teatru Rapsodycznego - R.Z.N., może nawet za najlepszego. Gdy postanowił wstąpić do seminarium Mieczysław Kotlarczyk protestował, że to jego główne powołanie..."

Można się dziś uśmiechnąć dowiadując się, co niedożałowany twórca Teatru Rapsodycznego uważał za główne powołanie Karola Wojtyły - ale uśmiech ten zarazem nam na ustach, gdy obejrzymy sobie na scenie, wyczarowaną piórem Karola Wojtyły, nekę wewnętrznego przeistoczenia się człowieka.

"Brat naszego Boga" i parę innych sztuk napisanych zostało niewątpliwie dla siebie lub grona najbliższych przyjaciół Autora, bez myśli o ich publikacji. Fachowi krytycy, ci zafascynowani, twierdzą, że sztuki te zostałyby przede wszystkim później odkryte ze względu na ich wartość artystyczną i ideową. Wierzę, choć zapewne nastąpiłoby to jeszcze nieprędce. Ale Autor został Papieżem, zatem legion aspiracji najlepszego woli zaczął wertować każdy ślad jego drogi. Fakt, iż aby znaleźć, szukać musieli bardzo głęboko, świadomy jak mało wagi ksiądz Wojtyła przywiązywał do dalszego losu raz już

przez siebie stworzonych dzieł dramatycznych. Nie do nich samych, tylko do ich funkcjonowania. Świadczy to, jak bardzo są one produktem Jego ducha, jak mało produktem Jego ambicji autorskich. Ale Autor ucieszył się, gdy je odnaleziono i wydrukowano /wide realcja Turowicza z wrżenia Janowi Pawłowi II egzemplarza "Poezji i dramatów"/, oraz gdy zdecydowano się wprowadzić je na scenę /list do dyrektora Krystyny Skuszenki/ Ucieszył się i dał swe placet. Precedensu tym nie stworzył, bo nasz Papiież nie jest pierwszym, którego sztukę napisaną w złodości, wystawiono na scenie za jego pontyfikatu. Bolesław Taborski odkrył, że pierwszym był w XV wieku Pius sjonedczyk i wybitny mecenas renesansu. Nasz Ojciec Święty jest drugim dramaturgiem w tiasze. Dzięki temu, a także dzięki naszemu łaknieniu autorytetów moralnych, polski teatr uzyskał akurat taką szansę, na jaką liczyła Krystyna Skuszenka.

Pani dyrektor powiedziała - zanotowaliśmy jeszcze przed premierą - że chodzi jej o prestiż teatru w Polsce, który w ramach kryzysu wiary w słowo zatracił wiele z wiarygodności słowa mówionego ze sceny. Te nadzieje spełniły się w całej rozciągłości: na scenie Słowackiego w Krakowie przetyśmy święte wiarygodnego słowa. Wielkie święto.

Nikogo do pójścia na przedstawienie "Brata naszego Boga" nie trzeba zachęcać, bilety są podobno wyprzedane do kwietnia, choć sztuka wcale nie jest łatwa. Ale jakoś ostatnio lubimy rzeczy niełatwe.